Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 38. Poznań, dnia 20. Września. 1841.

Literatura zagraniczna.

Die Wunder der Erdrinde,
gemeinfaßliche Darstellung der Geologie und Mineralogie
von
CARL HARTMANN.
Stuttgart, 1841.

W Niemczech od niejakiego czasu korzystna objawiła się dążność, jak najrozleglejszego upowszechniania nauk i umiejętności. Aby tego celu dopiąć pozbyto się zbyt uczonéj metody, małéj tylko liczbie czytelników dostępnéj, a chwycono się więcéj plastycznego wykładu. Dzieła tego rodzaju są jasne, wydatne, zrozumiałe; przedmioty z głębi wydobyte na powierzchnią. Aby jednak rzecz nie zrobiła się płaską, nauka powierzchowną, metoda ułatwiająca pojęcie samo, nie obywa się bez pomocniczych nauk, jest systematyczna i wchodzi licznémi ogniwami w obszerne koło wszystkich innych nauk. Na takiém stanowisku umiejętność nie przestaje być umiejętnością, bo tylko zmienia metodę; a na dziełach tak opracowanych wyrabia się stan średni w oświecie, podstawa dla niéj równie silna, jak stan trzeci w społecznem życiu.

Do książek tego rzędu należy powyższe dzieło p. Hartmana w jednym obszernym tomie (944. str.) zawarte, licznémi rycinami ozdobione. Stanowi ono drugą stronę do równie szacownego dzieła p. Vollrata Hoffmana*): »Die Erde und ihre Bewohner«, o którém w kolumnach tego pisma daliśmy sprawozdanie. Tamto geograficzną powierzchnią ziemi naszéj opisuje, to zaś fizyczną, sięgając w głąb ziemi tak daleko, jak dotąd oko i ręka ludzka sięgnęła. Za trzecią pobocznicę w trójkącie tego rodzaju wiadomości może być uważane wyborne dzieło prof. Littrowa »Wunder des Himmels oder gemeinfaßliche Darstellung des Weltsystems. 2te Aufl. Stuttgart, 1837.« Średnica ziemi wynosi 1719½ mil geogr., a kopalnie ludzkie sięgające ledwie 2000 stóp w prostopadłym kierunku. Ta głębia zatém zaledwie cieniuchną łupiną globu ziemskiego nazwaną być może. Wszakże wszystka mineralogia i geologia na znajomości téj warstwy tylko polega. Daléj idą same domysły i marzenia, nie podające nic naukowego.

Autor przeto zebrawszy w system naukowy to wszystko, co przyrodzenie cudownego w téj łupinkowéj warstwie ziemi objawiło, dał zupełny obraz geologii i mineralogii w połączeniu. Cudownem zaś jest i ziarnko piasku, bo osłonione tajemnicą przyrodzenia, które dopiero bliższe poznanie całéj umiejętności geologicznéj odgaduje. »Oko bez nauki w pospolitéj krzemionce nie dojrzy żadnéj formacyi, w obnażonéj skale widzi tylko kamień, i nadaremnie szuka tam nauki lub piękna. Człowiek podobien do onego rycerza w powieści arabskiéj, co szuka skarbu, ale doń dojść nie może, bo go ukrywa opoka w kamienistych wnętrznościach swoich. Trzeba mu talismanu, by się dostał do zaczarowanego złota, by za jego przyłożeniem, rozwarło się przed nim wnętrze opoki i błysł zeń kruszec uroczym blaskiem swoim.« (Autor w przedmowie str. VI.)

Dzieło całe rozkłada się na pięć oddziałów. W pierwszym dany rys geografii, uważanéj z geologicznego stanowiska. Formacya dolin robi przejście do następnego działu »o zmianach powierzchni ziemi naszéj.« Tu rozwinięte widzimy zasady całéj geologii. Metoda syntetyczna; postęp od rzeczy znanych do nieznanych; od zjawisk teraźniejszości do zjawisk przeszłości, których ślady pozostały na ziemi; neptuniczne (wodne) i plutoniczne (ogniowe) przyczyny zmian. — Dział trzeci zawiera mineralogią, jako naukę ciał w skład łupiny ziemskiéj wchodzących. — Na właściwe ziemiorodztwo przypadają ostatnie dwa działy. W pierwszym rozwinięte prawa petrografii w ogólności; w drugim szczegółowy wywód ziemiorództwa główniejszych pasm gór w Europie, ich rozgatunkowania, składu i formacyi metalów. Zakończają dzieło dwa dodatki o sposobie

*) Zasłużony ten uczony niemiecki geograf umarł dnia 30. przeszł. mies. w Stutgardzie w 45go roku życia swego. *Przyp. red.*

robienia postrzeżeń geologicznych i o zastósowaniu geologii do pożytków ludzkich.

Między mineralogią a geologią ta tylko zachodzi różnica, że pierwsza uważa twory nieorganiczne w skład powierzchniowéj warszty ziemi wchodzące w osobni, a geologia uważa je w połączeniu, czyli w wielkich pokładach i massach. Obie zatém umiejętności w najściślejszém z sobą zostają związku. Mineralogia jest częścią przygotowawczą geologii, a geologia dopełnieniem mineralogii. Trafnie nazywa *d'Aubuisson* ziemie sole i kamienie, minerały i kruszce abecadłem geologii, głoskami, za poznaniem których człowiek czytać dopiero umie w ciemnéj podziemnéj księdze przyrodzenia. Ten związek pojął dokładnie i nasz autor, a dając obraz kory zjemskiéj, dał go przez trafne połączenie nauki o rzeczach kopalnych z nauką ziemiorództwa.

Nauki przyrodzone u nas, jak wiadomo, na niskim stoją stopniu. W nowszych czasach najznakomitsze badania pokazały się w ziemiorództwie. Na ziemi polskiéj, u jéj południowych granic wznoszą się strome Karpaty, widne już z Wawelu, a odnogami ich są Świętokrzyskie i Olkuskie góry. Tuż po nad Wisłą o kilka mil od Krakowa Wieliczka i Bochnia otworzyła skarby swoje we wnętrzu ziemi. Otworzone na tych punktach kopalnie soli i kruszców zwrócić musiały w czas uwagę Polaków na geologią. Pierwsze ważniejsze w téj gałęzi nauk dzieło na twórczych pomysłach oparte jest Staszyca »ziemiorództwo Karpat.« Świeżo wyszłe dzieło p. Hieronima Łabęckiego »Górnictwo w Polsce«, i zapowiedziane do druku dzieło p. L. Zejsznera rzucą więcéj jeszcze światła na naukę ziemiorodztwa, opartą na pokładach gór Karpackich, tak mało jeszcze znanych geologom zagranicznym, że ich i Hartmann w rzędzie systemów pasm gór europejskich nie umieścił. Lubo badania ziemiorództwa Karpackiego, zasad geologicznych dotąd rozwiniętych nie zmienią, to jednak wiele ważnych odkryć mogą szczegółów, ku ich większemu utwierdzeniu, alboli też dopełnieniu. Hartmann sam biegły jest w górnictwie, i zasłużone jest w literaturze dzieło jego dawniejsze: »Der inneren Gebirgswelt Schätze und Werkstätten, oder gemeinfaßliche Darstellung der Bergbaukunde.« Już więc i pod tym względem powyższa praca autora, w któréj część górnicza teoretyczna jest przeważająca, wiąże się z oryginalnémi płodami tego rodzaju w naszém piśmiennictwie. Autor obeznany jest dokładnie z całą najnowszą literaturą mineralogiczną i geologiczną, i nic nie pominął z najświeższych odkryć i postrzeżeń poczynionych w tych gałęziach nauk.

Przytaczamy ustęp o trzęsieniach ziemi bieżącego stulecia. (str. 220. i nast.) Autor rozwinął wprzody teoryą wulkanów, wskazał geograficzne ich rozpołożenie na kuli ziemskiéj, wytknął główne linie działań wulkanicznych, rozebrał nader szczegółowo wulkaniczną okolicę Neapolu, Sycylii, Islandyi i archipelagów wulkanicznych, i doszedłszy do wypadku, jako trzęsienia ziemi zostając zawsze w związku z wybuchami ogni, być muszą skutkiem plutonicznych żywiołów, — kreśli obraz historyczny trzęsień ziemi ostatnich lat 150, zwraca uwagę na liczbę zmian w tym czasie na powierzchni ziemi ztąd wynikłych, i daje miarę zmian w ogólności przez wybuchy wulkaniczne na globie ziemskim poczynionych. Zwyczajem swoim zaczyna od najznajomszych i najbliższych.

»Ostatnie trzęsienie ziemi było 23. Stycznia 1838. r. w księstwie Siedmiogrodzkim i okolicznych krajach. Wstrząśnienia nie były częste, ale gwałtowne. Domy się wywracały i ludzi wiele naginęło. Ziemia Siedmiogrodzka była tego trzęsienia punktem środkowym. Rozchodziło się zaś na wschodzie od Odessy aż do Dunajowego spadku, od Lwowa do Konstantynopola; było oraz w Kijowie, w Charkowie, Podolsku, w Chocimie. Na zachód sięgło aż do Chambon, Semur, Pouilly, Cherbourg we Francyi. Pod Cherburgiem równocześnie z zadrzeniem ziemi silne powstało zburzenie morza.

1837. r. 14. Marca po całéj Styryi było trzęsienie ziemi, i równocześnie objawiło się w Wiedniu, Pressburgu, Pradze. Piątego dnia potém trzęsienie ziemi zrujnowało wyspy Hydrę, Eginę, Paros i Santoriu.

Najstraszliwsze trzęsienie odbyło się w Chili dn. 20. Lutego 1835. r. Rozchodziło się wzdłuż od północy na południe na 10 stopni szerokości geogr. (150 mil), a wszerz od Mendoza aż do Juan Fernandez. Okręty żeglujące na morzu spokojném na 100 mil od brzegów, gwałtownych doznały wstrząśnień. Miasta Conception, Talcahuano, Chillau w gruzy zostały obrócone. O tym samym czasie w odnodze Conception morze od brzegów wstecz się cofnęło, wszystkie mielizny wyszły na wierszch, a okręty leżące na kotwicy na głębi siedmiu sznurów, osiadły nagle na piasku. Nie za długo dopłynęło znowu morze; i to kilka razy się powtórzyło. Na całéj linii gór Andes w Chili i ku północy wulkany ogniami ziewać zaczęły a z krateru Osorno płynął strumień lawy. Wyspa Juan Fernandez na 360 mil od brzegów Chilijskich oddalona wstrzęsła się w posadach, i wszystkie niziny zalały się wodą, na ćwierć mili od brzegów z głębi morskich na 96 sznurów buchały płomienie, tak, że przez całą noc na wyspie wielka panowała jasność. — W Conception pękła

pękła ziemia na wielu miejscach, ale szczeliny zemknęły się znowu. Kierunek tych szczelin był wschodnio-północny i południowo-zachodni. Po najpierwszych, najmocniejszych drgnieniach powtarzały się słabsze wstrząśnienia jeszcze przez 3 dni. A od 20. Lutego aż do 4. Marca naliczono drgnień 300. Ziemia podniosła się od 4 — 5 stóp wyżéj, lecz aż do Kwietnia zniżyła się znowu na 2 stopy. Najwyżéj podniosła się wyspa Santa Maria, 6 mil niżéj Conception leżąca, $1\frac{1}{2}$ m. długa, $\frac{1}{3}$ m. szeroka; południowe jéj brzegi podniosły się na 8 stóp, północne na 10. Morze na okół opadło, przystanie się zepsuły, w okół brzegów północnych rozciągnął się brzeg niższy płaski skalisty, który dawniéj morze dość wysoko zalewało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Wiązanie.

(Pisane w czasie wojny.)

Z wichrem, co dziko gra przez zagony
Z boleścią sercu wydartą,
W dalekie kraje, w rodzinne strony,
W ustroń kochanki leć karto.

Jeźli zapyta, z jakich powodów
Białe twe listki krew barwi,
Powiedz, że lecisz z szalonych godów
Od brzegów Wisły i Narwi.

Może twarz w miękkie kryjąc bielizny
Na tęskność ci się użali,
Powiedz, że jedna tęskność nas pali,
Tęskność mi lubéj ojczyzny.

Może westchnąwszy z duszą rozdartą
„Nieczuły!“ krzyknie z zapałem,
Powiedz jéj w ówczas — powiedz jéj karto,
Z zbytku uczucia zdrętwiałem.

Może słowika czując w pobliżu
O piosnkę ciebie zapyta —
Mów, że mnie codzień jedna pieśń wita,
Twarda pieśń stali i spiżu.

Powiedz, że chociaż cierpka i dzika
Tak mi przystaje do duszy,
Że gra nam wiosną pieśnią słowika
I gromy lata nam zgłuszy.

A jeźli ofiar nic nie oszczędzim,
I wszyscy — wszyscy wyginą,
Nad mogiłami i nad perzyną
Zagra nam himnem łabędzim. *A.*.*

Wyjątki z niedrukowanéj powieści Seweryna Goszczyńskiego: KRÓL ZAMCZYSKA.

(Ciąg dalszy.)

IV. Podziemie.

Związany słowem danéin przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tém miejscu przerwę opowiadania, któréj może nigdy nie zapełnię. Wolno mi tylko powiedzieć, że nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznéj wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzéć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy to dopełniwszy zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór podziemia. Spuszczaj się prędko, zawołał. Zrobiłem jak kazał, on skoczył za mną; w oka mgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnéj ciemności. Taka jest brama mojéj stolicy, rzekł Machnicki. Idź Pan za mną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów. Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się: Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę, stojącą w małéj framużce jakby umyślnie na to wykutéj i przemówił: to pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim? Powiodłem okiem do koła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznéj, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabém jak blask lampy. W utworzeniu jéj nie widać było śladu sztuki: pod ścianami stały lub leżały ludzkie kości; na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych mocno zardzewiałych. Zapewne to straż pałacowa? rzekłem; Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Główniе jednak zwróciły moję uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewéj ręce naszego wchodu. A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno sięgnie? — Może i daléj, odpowiedział Machnicki obojętnie. Po krótkiém zatrzymaniu się przystąpił do innych drzwi podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni niżéj, do innéj jaskini obszerniejszéj nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że było to jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków: jeszcze wi-

siały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach wklejanych w kamień ołuwiem. Machnicki nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowéj kryjówki z tajemniczém milczeniem, zapuścił w jéj głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur. Mimowolny dreszcz przebiegł ciało, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drwi jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jéj przesuwały się w ognistém malowidle sceny tyranii, jakich kiedykolwiek naczytałem się lub nasłuchałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia przerażona ich widokiem utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało na raz we wszystkie zmysły: w powietrzu uczułem duszącą woń trupiéj zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę odbite echem jaskini zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy połamana wzajemną walką, wyglądały z po za kolumn samorodnych i z załomów skalistéj ściany, postaciami ofiar mniéj więcéj wyraźnemi, blademi: jak żyję nie miałem podobnego widzenia. Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrzawszy przed nami nowe drzwi na pół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. O! nie, odezwał się Machnicki głosem uroczystym, z tego miejsca nie było i nie ma wyjścia, chyba tamtędy! na tych słowach otworzył do reszty drzwi uchylone, i wskazał za nimi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dniowego światła: jest to cmentarz więzienia! Wychodźmy ztąd!, zawołałem z niecierpliwością; wychodźmy którędykolwiek, byliśmy wyszli, i drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem w tył Machnickiego. On przeciwnie miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwił we mnie przenikające oczy, i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę: tak! jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niém nic więcéj nad więzienie zamku, a ja . . . ja coś więcéj tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniéj taki jak zawsze, a ty drzysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat, w którym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun, i nie uderzysz ich zmysłów jak piorunem. We wszystkiém zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednéj myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilka tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj w około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: oto twój świat, oto twoje życie! dopiero wtedy ocknie się, zadrzy, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku, silnych zmysłów? a ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnéj myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego. Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy: przebacz! zawołał, przebacz waryatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciebie na równi zresztą ludzi. Dałeś mi już nie jeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze; nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak! z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałem, bo to jest rozkosz pomówić z człowiekiem, który nasz język zrozumie. Teraz pójdziemy daléj.« — Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powiedział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. — Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższéj, przededrzwiami, o których już spominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz. Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz dosyć przestronny, przykro w dół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni prowadzących coraz głębiéj. Skracając o ile można i trzeba opowiadanie, namienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitéj wielkości, i tyleż pięter schodów mniéj więcéj licznych. Głębokości, w jakiéj byliśmy, po niczém zmiarkować nie mogłem; zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistém. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiéj był widoczny, częściéj samorodna objawiała się przyroda. Uważałem także nieraz mniéj więcéj obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takiém milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu téj wędró-

wki zrobiłem. Było w tém milczeniu coś uroczystego. W dziwny też stan przechodziły wyobraźnia, dusza i wszystkie moje władze: kto nie był w podobném położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniéj sążni pod ziemią, śród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze spomnieniami tylko dniowego światła i żyjącéj przyrody, w ciszy tak zupełnéj, że odgłos burzy nie ustannie piorunującéj, i z całą potęgą, wyraźny z początku, głuchnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłém prawie drzeniu ziemi, i dziwnym jakimś brzęku głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dla czego mimo większéj coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata. Machnicki zatrzymał się, w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całéj postawie coś tryumfalnego. »Słyszałeś ten piorun?« zapytał mię. — »Słyszałem.« — »Wiesz, co ów znaczy?« — Odpowiedź w duchu zapytującego nie łatwa była. Machnicki bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz na pomoc. „To strzał powitania!« odpowiedział. — »Powitanie królewskie, nie prawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi.« — „Tak, tobie, jak na ten raz jestem ją winien, mój gościu szanowny!« dodał, ściskając mię serdecznie za rękę. »Za chwilę sam to pojmiesz.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmowy perypatetyczne o rzeczach filozofii

przez

KAROLA LIBELT.

Przechadzka I.

Wstęp do rozmów.

Zegar wieczorem stawiony na godzinę trzecią, wolnym długiéj wagi spustem, hałasującą odegrał pobudkę, trzeba się było zerwać z łoża, przeciągnąwszy owisłe kilkogodzinném uśpieniem członki. Jeszcze noc ciemna świat kryła, a w uśpioném mieście grobowa panowała cichość, w któréj co dopiero ostatni nocnego stróża pogwizd skonał. Zapaliłem światło, niebawem urządzona machinka do kawy, jeszcze od czasów akademickich wierna moich prac rannych towarzyska, spirytusowemi gorzała płomykami, a mocny zapach kawy mile połechtywał nerwy smaku, na zagrzewający ranny posiłek. Spora plika wypracowań uczniów moich leżała do poprawy przedemną, dwie godziny było jeszcze do wschodu słońca, w tym czasie trzeba je było przejrzeć. Zabrałem się szczerze do pracy, i właśnie na ostatnim poszycie dopisywałem uwagę, kiedy pierwsza łuna wschodzącego słońca przez szyby okna na papierze przedemną w gorejącéj czerwieni się odbiła. Dwóch minut nie trwało ubranie. Przebiegałem szybkim krokiem próżne jeszcze ulice, gdzieś niegdzieś tylko wyrobnik do roboty pospieszał, otwieranie okienic, lub szczęk klucza odźwiernego wśród rannéj ciszy się rozlegał. Minąłem rogatki, i już opodal postrzegłem na ławie u wierzbowéj alei trzech moich towarzyszów na umówioną pierwszą majową przechadzkę. Oni także postąpili ku mnie w tryumfujących, jak się zdawało, z rychlejszego wstania postawach.

Pięknie, mój professorze, (rzecze lekarz), jak można było tak zaspać umówioną porę, słońce od pół godziny na niebie, a ja nawet po drodze już chorego odwiedziłem.

Ja już mszą świętą odprawiłem, (rzecze duchowny).

Ja (powiada sędzia) stósy przerzuciłem akt i wypracowałem wyrok.

Nauczyciel. Jeżeli tylko chodzi o to, że z was każdy już pracował w obowiązkach swojego powołania, to wam zaręczam, że i ja już od dwóch godzin w moim zawodzie nie próżnowałem, a pan doktor pozwoli sobie powiedzieć, że się źle zna na sztuce swojéj, skoro z oczu moich kilkogodzinnego już roztrzeźwienia nie poznał i o ospałość mnie posądził.

Lekarz. Nie snem tylko zasypiamy porę czasu.

N. I to prawda: przyznaję się więc do winy, i żeście na mnie czekać musieli, przepraszam. Powiem szczerze, żem was tak skorymi w dopilnowaniu umówionéj pory nie sądził, i w tém rozumieniu kończyłem robotę, nie oglądając się na zegarek. Ukarany zawstydzeniem przyrzekam, że tego nadal nie będzie.

Sędzia. Przyjmujemy przeproszenie w satisfakcyi za tak ubliżającą o nas opinią, a przyrzeczenie zachowam u siebie w depozycie.

Ksiądz. Ależ panowie, chodźmyż, bo nareszcie rozprawiając o opóźnieniu, opóźniamy się coraz więcéj. Oto ów Jegomość nad nami otulony w płaszczu, co nas tu czekających był minął, widzę już wraca z przechadzki.

L. Szybszym też od nas pospiesza krokiem. Widać, że chwile czasu jego obrachowane, których zale-

dwie kilka na poratowanie wycieńczonego zdrowia poświęcić mu wolno. Założyłbym się, że to, który z urzędników, co od rana do wieczora ślęczy przykuty do bióra.

S. Zgadłeś doktorze, jest to urzędnik z bióra administracyjnego.

N. Trzeba być mizantropem, a przynajmniéj skłonnym do hypochondryi, żeby bez towarzystwa, bez uprzyjemniającéj rozmowy w czasie, w którym rozwijająca się natura działa tak miło na serce, i usposabia nas do uczuć tych udziału, przechadzać się samemu, w niemém wśród tylu powabów zagłębieniu się własnych myśli.

L. Nie ma wątpliwości, że takie stronienie od ludzi, takie zatapianie się myśli w sobie saméj, skutek czy zmartwień, badań, czy wrodzonéj skłonności, pierwszym bywa krokiem do spaczeń umysłowych. Rozmowa jest duchowym umysłu naszego pokarmem; używajmyż go przynajmniéj w chwilach od zatrudnień wolnych.

Ks. Chwalę z tego względu świątobliwy zwyczaj, dawniéj w zakonach, a nawet w wielu familiach zachowywany, odczytywania pod czas obiadu rzeczy pouczających.

L. Na tobym się nie zgodził. Dla tego zapewne odczytywano wśród jedzy, przedmioty naukowe lub moralne, aby przez zmysły smaku lepiéj na pamięć działały. Tém bowiem dłużéj i dokładniéj rzecz pamiętamy, im więcéj zmysłów było w czynności, pod wpływem których do wiedzy naszéj przechodziła. Taki jednak cel nie rozweselenia umysłowego, ale natężenia, nie tylko nie pomaga biesiadującym do strawienia, lecz im nawet jest do tego na przeszkodzie. Działanie umysłu, aby korzystnie wpływało na ciało, musi się objawiać przez ruchy fizyczne, to jest przez mowę i giesta: tam, gdzie umysł jest w niemém natężeniu, czy to namysłu, czy uwagi szkodliwy wywiera wpływ na działania żywotne.

Ks. Nie dobro ciała miały na celu święte dawnych wieków zwyczaje i ustawy. Człowiek owowieczny cały zajęty religią i Bogiem chciał, aby wtenczas, kiedy ciało naturalném nasycało się i krzepiło pokarmem, dusza pobożną karmiła się nauką; aby zajęty słuchaniem rzeczy boskich, nie przywięzywał wartości do straw ziemskich, aby jadł, ale i w jedzeniu żył tylko życiem duchowém.

N. Nie uwłaczam bynajmniéj takiéj świątobliwéj gorliwości osób, co się życiu duchownemu z powołania poświęcili; zwyczaj tak święty, odpowiada świętemu ich zawodowi niezakłóconemu żadnémi troskami światowémi. Ale w życiu powszedniem towarzyskiem, w którém po znojach prac i zabiegów godzina obiadowa staje się chwilą wytchnienia, i powraca nas familii, domownikom i przyjaciołom, od których nas obowiązki całodzienne rozłączają, niestósownym mi się wydaje zwyczaj niemego wśród słuchania pożywania daru Bożego w gronie miłych nam osób. Chwila obiadowa zbliżając wszystkie członki rodziny i domu do jednego stołu, zdaje się być z powodu tego zjednoczenia najstósowniejszą porą do rozmów potocznych, nastręczających się z różnych zatrudnień i powziętych wiadomości każdego. Gdybyśmy tu przywykli do ponurego milczenia, całe nasze społeczne życie okryłoby się posępnym pomrokiem, zacierającym towarzyską wesołość i udział wzajemny. Byłoby to iść w sprzeczeni z przeznaczeniem naszém, gdyż w mowie mamy najdować środek społecznego ze sobą obcowania i pożycia.

L. Zgadzam się na to: dodam tylko mojém zdaniem, że przedmiot toczącéj się wśród biesiady rozmowy powinien być lekki, potoczny, więcéj rozweselający dowcipem, niżeli natężający rozum. W takim rodzaju były owe znajome obiady Czwartkowe na dworze ostatniego Stanisława Augusta, na które uęszczały wszystkie znakomite owego czasu narodowe talenta. W takim guście były i są w ogóle biesiady nasze polskie, przy smacznych kęsach a dobrém winie, przy uprzejmości gospodarstwa a wesołym goszczących humorze, rozmowne, gwarne, a choć niekiedy ku końcowi krzykliwe i huczące, zawsze jednak dla każdego z biesiadników przyjemne, zajmujące. Rzeczy większéj wagi, systematyczne, naukowe, nie zaostrzają smaku i utrudniają strawienie. Więcéj ku temu przydatne przechadzki.

N. Których już Aristoteles użył na wykład uczniom swoim głębokiéj nauki filozofii, przechadzając się z nimi, po Lyceum, i ztąd to zwolennicy téj szkoły nosili nazwisko P e r y p a t e t y k ó w (przechadzających się.) Podobnie przed nim Plato nauczał w plantacyach akademii.

L. Był to sposób nauczania naśladowania godny, pod gołem pogodném niebem, na osobni od wrzawy miasta, wśród woni pięknych drzew, miło było i nauczać i uczyć się; a ciągłe wolnym krokiem miarkowane poruszenia ciała, utrzymując krew i soki w prędszym żywszym obiegu, usposabiały wraz i umysły tak nauczyciela jak uczniów, do prędszych i żywszych wyobrażeń i pojęć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Theorie des großen Krieges,
angewendet
auf den russisch=polnischen Feldzug von 1831.
durch
W. v. WILLISEN,
Königl. Preußischem Oberst im Generalstabe.
Berlin, 1840.

(Dalszy ciąg.)

W poruszeniu marcowém przeciw Rosenowi przekonał się Skrzynecki o dążności Feldmarszałka, i mógł wiedzieć, iż nieprzyjaciel przez Bug nie przejdzie. Poruszenie przez Granne jeszcze większym błędem strategicznym było, aniżeli pochód przez Ryki do Siedlec. dać się uwodzić nieprzyjacielowi, jest to ślepo i mechanicznie, jest czystym odporem a nie przejęciem się zasadami sztuki. która i w odpornéj walce co innego wskazuje. jak żeby po prostu tam się tylko bronić, gdzie nieprzyjaciel napadnie. I tą razą należało zaniechać środkowéj linii, a działać na linii południowéj przez Lublin idącéj, odeprzeć Umińskiego aż do Pragi i przeprawę przez Wisłę pod Górą przygotować, przez co Skrzynecki nie mógł daléj na gwardye, które przez Białystok wszędzie otwarty odwrot miały, ani przed 24. przybyć Warszawie w pomoc. Można było roztrzygnąć wszystko, zwłaszcza ściągnąwszy oddziały z pod Lublina i Zamościa. Ta jedna myśl strategiczna więcéjby była przyniosła korzyści Rossyanom, jak krwawa pod Ostrołęką bitwa. Gdyby uwagi podobne uczynił był Skrzynecki, byłby inaczéj postępował, i nie przedsiębrał wyprawy lub też działałby był z szybkością błyskawicy, aby stanowcze odnieść zwycięstwo i już nie należało nic w królestwie działać, a 19. nie powinien się był daléj pod Tykocin posunąć. Tymczasem główna siła polska 19. zapewniwszy sobie odwrot przez Ostrołękę i na prawém skrzydle w Nurze, pociągnęła daléj przez Łomżę, Śniadów i Zambrów. Gwardye rossyjskie i teraz szybko ustępowały. Potyczki tylną strażą staczały tylko, aby się przekonać, czy za niemi cała główna siła polska postępuje. W tym dniu zdobyto Łomżę; gwardye niezniesione ustąpiły za Tykocin i ku Białemustokowi; 20. t. m. przednia straż polska dotarła do Narwi. Nie zupełnie jednak opanowane przeprawy pod Tykocinem i na drodze do Białegostoku, potém stanowczy wpływ na następne działania wywarło. Spoczynek 20. dowodzi w części, że Skrzynecki nie przejął się zupełnie myślą Prądzyńskiego, nie umiał stanowczo działać, i że ułożył sobie tylko wyprawę pod Tykocin, aby otworzyć drogę posiłkowym oddziałom do Litwy. Jeszcze tegoż dnia Łubieński wyprawił Generała Chłapowskiego w 8 szwadronów jazdy z 6 działami, z pewną liczbą instruktorów piechoty w kierunku ku Bielskowi, a sam wysłał straże przez Ciechanowiec do Grodziska i Grannego dla powzięcia wiadomości o nieprzyjacielu, które też tą drogą otrzymał. Z Łomży przeciw Generałowi Sacken wyprawionym został z oddziałem Pułkownik Sierakowski; większych oddziałów nigdzie nie rozesłał Skrzynecki, aby się, póki tam był, za bardzo nie osłabić. Tegoż dnia otrzymał pewne wiadomości o poruszeniach nieprzyjaciela, do których się stosując poprzestał zaczepnego ruchu; dowiedział się, że Krukowiecki zawistny jemu, urągał się z jego przedsięwzięć i umyślnie nie dosyłał posiłków na linią bojową, że już zaczął swoje kabały; przekonał się o błędach Umińskiego, który ani Feldmarszałka za Liwiec nie gonił, przez co by go był przymusił do osłabienia sił swoich z konieczności pozostawienia po za sobą przeciw niemu oddziałów, ani po przejściu Bugu przez Rossyan nie połączył się z główną siłą szybkim pochodem przez Wyszków i Brok, aby tym sposobem przyczynić się do zebrania massy na punkt stanowczy, który był odcięcie gwardyi na linii od Ostrołęki przez Zambrów do Bielska idącéj. Należało Polakom 21. całkiém za Narew przerzucić gwardye, zniszczyć przeprawy pod Tykocinem i na drodze do Białegostoku, a Umiński po przejściu Bugu pod Brokiem powinien się był złączyć z Łubieńskim; 22. wypadało obserwować gwardye i Narew lekkiém wojskiem z kilku ciężkiémi działami dla imponowania, odwrócić główne siły pod Wysokie mazowieckie, a Łubieński z Umińskim pod Czyżewem powinni byli utworzyć prawe skrzydło armii. Gdyby tak zebrana siła 23. pod Grannem na przeprawie opadła była dwa korpusa tylko przez Feldmarszałka przyprowadzone, zostałby pobitym albo musiałby ustąpić. Dopiero teraz punkt Ostrołęki byłby ważnym, bo walnéj bitwy pod Grannem Polacy nie mogliby stoczyć bez zapewnionego sobie na Ostrołękę najlepszego stąd odwrotu od prawego W bitwie pod Ostrołęką mieli Polacy mniéj o korpusa Gielguda i Umińskiego, przy téj kombinacyi na Wysokie, Feldmarszałek nie miałby był gwardyi, mogła być przeto ta bitwa stanowcza dla Polaków, Feldmarszałek pobity musiałby się cofnąć do Brześcia, a gwardye jeszcze daléj na Grodno lub Słonim.

Skoro Skrzynecki 23. ujrzał się od Umińskiego opuszczonym i odebrał wiadomość, że Łubieński od Czyżewa odpartym został przez główną siłę rossyjską, postanowił cofnąć się do Ostrołęki i w téj wysokości wzdłuż Narwi, opierając lewe skrzydło o oszańcowaną Łomżę, prawe o Serock, rozwinąć linią bojową, aby w pogotowiu być tym bliżéj nowego ogniska powstania, na Litwie.

Feldmarszałek 21. pod Grannem przebywszy Bug, 24. zajął Wysokie mazowieckie; gwardye 23. przeszedłszy Narew, 24. o dwie mile za Tykocin doszły. Odtąd szybkiemi pochodami idąc 26. o 3éj rano stanął tuż pod Ostrołęką. Skrzynecki nie spodziewał się być attakowanym w stanowisku jak mu się zdawało nazbyt mocném, dla tego żołnierzom wydano rozkazy do wypoczynku. W nocy 25. większą część wojska przeprawiono na lewy brzeg Narwi, miasto osadzono 4. i 8. pułkami piechoty. Łubieński stał w przedniéj straży, ale w niezbyt dogodném stanowisku o pół mili przed miastem. Nagle 26. równo ze świtem od razu silnie przeważną siłą uderzono na Łubieńskiego; odparta straż przednia, wyparowane oddziały z miasta, nie zdążyły za sobą zniszczyć mostów; w sztabie głównym nikt o bitwie nie myślał, nikt teraz walki się nie spodziewał. Wojsko było długo bez wodza, stąd powstało zamieszanie, zwłaszcza że ze strony rossyjskiéj coraz żwawiéj, coraz większą massą nacierano, a działa liczne na wzniosłym, w znaczny łuk rozwartym prawym brzegu Narwi rozstawione gęsto, ogniem krzyżowym klin, w którym wojsko polskie stało, mocno raziły. Bitwę pod Ostrołęką nie można nazywać stanowczą bitwą, straty z obu stron prawie jednakowe, nie wszystkie oddziały miały w niéj udział, nie całą massą działano, korzyści Dybicz żadnych nie odniósł, bo Skrzynecki, lubo niespodziewanie zachwycony, umiał uniknąć ostatecznego niebezpieczeństwa. Po téj krwawéj bitwie Polacy nieścigani cofnęli się po za Bug, przez Pułtusk pod Pragę. Przecież i tu Dybicz ze szczęścia korzystać nie umiał, mógł bowiem zatrudniwszy 26. Polaków mocną przednią strażą pod Ostrołęką, po dwóch dniach przyśpieszonego pochodu zdobyć Serock i roztrzygnąć walkę. Wypadki tego okresu znowu stwierdzają główne zasady wojenne: rossyjska siła zmuszoną została opuścić opanowane już całe królestwo, bo Polacy strategicznie dobrze poruszyli się i uderzyli to jest: w kierunku, w którym nagle większą massą swoją, mając zapewnione własne związki, rzucili się na główną linią związków nieprzyjaciela, na część jego odosobnioną, w krócéj użyli massy na punkt stanowczy. Wódz rossyjski osądził, że mu najlepiéj w prostéj linii przywrócić związki, choć do tego inna służyła droga. Jeszcze 20. Polacy odnieść mogli stanowcze zwycięstwo i jednym pochodem zyskać to, czego przedtém przez krwawe bitwy nie dostąpili; nie zdołali tego jednak, bo wyborny pomysł strategiczny taktyczném zwycięstwem uwieńczonym nie został, porzucić musiano więc osiągnione już korzyści strategiczne. Póżniéj roztrzygnienie taktyczne źle wypadło dla zwycięzcy strategicznego, w końcu wypadków jednak położenie jego nie było gorsze jak poprzednio, owszém lepsze, bo główną siłę rossyjską wyrzucono na linią mniéj dla sie-

bie szkodliwą. Polakom nie zaszkodziła stracona bitwa, bo strategicznie dobrze się poruszali. Rossyanom nic pomogło zwycięstwo, bo popełnili błędy strategiczne, czyli inaczéj Polacy działali wprawdzie w punkcie stanowczym, ale nie massami, Rossyanie znowu massami, ale nie w punkcie stanowczym. Tu jednakże wypada nieco usprawiedliwić Skrzyneckiego, cóż winien, że nie miał geniuszu? nikt go w działalności nie wspierał, owszém rozkazów nie dopełniono, posiłków nie dosłano; w wojnie straty być muszą, żadna władza energicznie nowych zaciągów, powstańców nie urządzała — skądże się wziąść miały massy? zawsze bojaźliwym będzie każdy bez geniuszu sam sobie zostawiony, nie mogący się na nikogo oglądać, na nic rachować. Biada narodowi, który losy swoje w niebezpieczeństwie złożyć w ręce jednego przymuszonym jest. Choć unikniono zupełnéj klęski moralnéj, skutki tyle zawiedzionych nadziej, tyle świetnych ofiar i wysileń bez korzyści okropne były; odtąd już stracono zupełnie zaufanie, bo zniknęła illuzya, którą wszystkich dotąd omamiać umiał Skrzynecki i Czartoryski. Intryga i zawiść jak zawsze w nieszczęściu górę brać zaczynały, a nie było geniuszu, coby przewagą umysłu, silną wolą, ten chaos uporządkować umiał.

Piąty okres działań od 28. Maja do 25. Lipca. — Wyprawa do Litwy. — Poruszenie polskie od prawego na Rüdigera i Rosena. — Przejście Wisły Paszkiewicza.

Wypadki dawniejsze straciły już obecnie pierwiastkową wartość, i wojna nie tyle już odtąd zasługuje na rozbiór umiejętny. Jednak w okresie tym wyprawa na Litwę jest ważną, bo uwieńczona skutkiem mogłaby była roztrzygnąć walkę. Odcięty, z konieczności wysłany tam General Giełgud, gdyby był pojęciem wojenném obdarzony, mógłby był sprawie polskiéj niezmiernie się przysłużyć. Cały jednak kierunek wojny ze strony polskiéj nie może wytrzymać odtąd krytyki. Największym błędem była w tym czasie zupełna stagnacya. Nie podzielam zdania, jakie Willisen (na stron. 84.) o wyprawie Giełguda otworzył. Charakter narodowy czynami tylko zapalający się, stósunki wewnętrzne, względy polityczne, możność przez śmiałe i szybkie działania rozpostarcia nowego obszaru wojny, przeważnie to przedsięwzięcie lubo odśrodkowe tym bardziéj, że mimowolnie poczęte usprawiedliwiają i pomyślność zdawały się rokować. Po szczęśliwym pierwszym wypadku i ruszeniu się większych mass, pewnoby sposób działania na Litwie od Warszawy, tak pięknie rozwinięty przez Willisena. przyszedł był do myśli Prądzyńskiego i niezawodnie byłby roztrząsanym w sztabie głównym polskim. Willisen mówi (str. 85): Armia polska, któraby na Litwie działać chciała i zarazem Warszawę jako środek przeciw silnemu nieprzyjacielowi bronić, powinna się rozwinąć na linii Narwi przez Modlin do Warszawy, a środkiem stojąc pod Tykocinem, część na Litwie działać mającą wysłać ku Grodnu, ażeby ta pod Połągą rozciągnęła podstawę działania; w takiém położeniu. w każdym razie obiedwie działające części miałyby z sobą zapewniony związek. Wszakże z początku fałszywie przyjęty system odpornéj wojny, potém znacznie stłumione powstanie, brak tylko mass, bojaźliwość Skrzyneckiego na nic odważyć się choć roztropnie nie umiejącego, nie dozwalały rozwijać zamiarów na rozleglejszą miarę. W stanie, jak była Polska w r. 1831., jeden znakomity wypadek mógł przeważyć szalę losu; należało przedsiębrać, bo każda wojna ciągle czysto-odporna długo trwać nie może, skończyć się musi klęską, jak się skończyła wojna polska r. 1831., bo podczas długiego ścierania jakiéj drogi chwycić się należy, słabo, wątpliwie działano i przemogła zasada czysto-odpornéj walki, która do zguby doprowadziła.

Giełgud z powstańcami i oddziałami Sierakowskiego, Chłapowskiego, miał do działania w Litwie w chwili przeważną siłę i mógł mieć coraz większą, ale mu należało szybko działać i po zwycięstwie nad Sackenem pod Raygrodem nie iśdź pod Giełgudyszki na Żmudź, ale śpiesznie z całą siłą prosto przez Ollittę na Wilno i to miasto w nocy z 4. na 5. Czerwca zdobyć, uderzywszy w 16,000 od strony północnéj, co łatwo było uskutecznić, bo na początku Czerwca bardzo słaba najwięcéj 5000 załoga w Wilnie znajdowała się. Po zdobyciu Wilna, takiego składu wszelkich zapasów wojennych, mając już tył zapewniony, można było założyć osobną szachownicę, nowe pole wojny i działać w kierunku do morza baltyckiego przez Jurburg lub Kiejdany na Połągę, aby ułatwić nadchodzącym posiłkom, gdyby teraz mniemana interwencya Europejska nastąpiła. Dopiero po przybyciu Sakena z Kowna, Kurutty z Grodna, 19. Czerwca mogli Rossyanie pod Wilnem Polakom odpór stawiać, a i tak połączyćby się nigdy nie byli mogli, gdyby nie błędy Polaków. Mimo tego jeszcze umiejętnie postępując, można było dostąpić skutku, w końcu zaś Czerwca po nadejściu morzem zapasów wojennych najmniéj 40,000 wystawić armią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Znany zaszczytnie w literaturze ojczystéj generał Fr. Morawski wydał w tych dniach w Wrocławiu tom pierwszy swoich poezyi, o których już w Nr. 25. wspomnieliśmy. — Obszerniejsze sprawozdanie damy poźniéj. — Dochód dzieła przeznaczył szanowny autor na wsparcie kmiotków w jego wsi Luboni mieszkających — a niemających żadnéj posiadłości. — Cena zł. pls. 12.

Przewodnik rolniczo-przemysłowy, wychodzący u E. Günthera w Lesznie, odznacza się obecnie między innemi pismami tamże wychodzącemi. Kiedy ciągle wszędzie słusznie uskarżają się na pismo kiedyś tak popularne, jak Przyjaciel ludu, i na Szkółkę niedzielną, które nie nauczać lud nasz, lecz zagwoździać, że tak powiemy, zdrowy rozsądek jego się starają, wzbudzając w jego czystém niewinném sercu uczucie fanatyzmu i pietyzmu; nie dziw, że Przewodnik bezstronnie redagowany coraz bardziéj jest chwalonym i coraz więcéj znajduje przyjaciół. — W ostatnim numerze czytamy między innemi artykuł p. A. Białkowskiego: »Stan teraźniejszy i możliwa przyszłość komorników«, na który zwracamy uwagę czytelników naszych.

Znany autor dzieła »*le mie prigioni*« (Silvio Pellico), w którém, jak wiadomo, pięknie choć za bardzo sentymentalnie i pietystycznie opisał to, co dla sprawy narodowéj włoskiéj w więzieniach Neapolu, Wenecyi, Spiegelbergu i t. d. wycierpiał, umarł, jak pismo *Semaphore* donosi, w Włoszech.

Najnowsze dzieła.

Dziesięć obrazów, z wyprawy w r. 1834. — 1835. Poema z muzyką do dwóch pieśni i czterema portretami. — Paryż, w drukarni i litografii Maulde i Renow, 1841. (str. XXXII. — 275.)

Teatr starożytny w Polsce, przez K. W. Woycickiego. 2 tomy. Warszawa, nakładem G. Sennewalda. 8vo. 1841.

Sprostowanie.

W Nr. 37. w doniesieniu pierwszém zamiast »drukuje się« ma być »ukończył się druk« i t. d.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*